

## Bajka o dokarmianiu — Ten\_Smiertelny

**Od autora:** W dziewiczej puszczy, ludzie nagle rozpoczynają dokarmianie. Zwierzęta są zdziwione: Czy to pułapka? a może człowiek próbuje odpokutować swoje dawne winy? Ale, czy nie można byłoby wykorzystać tego na swą korzyść?

---

*Utwór mimo formy bajki, jest w rzeczywistości alegorią, komentującą pewne przemiany gospodarcze i społeczne. Skłania czytelnika do postawienia sobie pytania: Jak to się stało, że współczesne życie człowieka, jest tak różne, od tego, które prowadzili jego przodkowie?*

### TEN ŚMIERTELNY

#### **Bajka o dokarmianiu**

Wśród zwierząt leśnych zapanowało poruszenie. Wieść niosła się z mord do mord, z pysków do pysków, z dziobów w dzioby: „człowiek rozdaje jedzenie”.

Las to był głęboki, dziewiczy. Od wieków ludzka noga nie stała w nim. Nikt tam drzew nie ścinał, pni powalonych uprzętał; nikt, z ludzkiego rodu, nie polował nawet.

Polowały zaś niedźwiedzie, wilki, rysie. Pasły się sarny na zboczach, żubry w gęstwinie, odyńce. Także pszczoły dzikie, gnieździły się w drzewach, zbierając nektar, produkując miód – którego tylko niedźwiedzie mogły podbierać.

Mrówki pracowite tworzyły swoje kopczyki; lisy grzebały jamy; wiewiórki na swój sposób przysposobiły się do zimy. Ptaków liczna gromada żywiła się owocami drzew, których nikt nie sadził, wyjadała owady, którym też jedzenia nigdy nie brakło i było ich mrowie.

Lecz teraz zaczęło się dokarmianie. – Czegoż to człowiek nie wymyśli? – świergotały ptaki. – Cóż znowu, jakiś kłopot... – martwiły się łanie. Więc chociaż krocie niezliczone istot żywych, żyło w borze, tylko jednostki, bardziej z ciekawości niż potrzeby, wyruszyły zobaczyć, o co chodzić może i w czym tkwi fortel.

Plac tam był ubitej ziemi, nad nim transparenty wpisane wszelkimi możliwymi zwierzęcymi językami: „Darmowe, dokarmianie! Pomocą dla głodnych i potrzebujących zwierząt!”. Było tam proso dla dzików, owies dla łani i ptaków. Zakiszona trawa pachnąca doskonale.

Lecz również zabite sarny dla mięsożerców, na widok których zwierzęta wpadły w popłoch, myśląc, że są ofiary obecnej tutaj pułapki. Dalsze jednak oględziny pokazały, iż jest to rodzaj inny od występującego w lesie.

Ptaki, ignorując ziarno, rzuciły się zaraz do ich oczu i ran. Lecz natychmiast odgoniła ich trójka młodych, nierozważnych, wilków, wiecznie szukających rozróby; oni też, jako jedyni z mięsożernych, wyszli na zaproszenie człowieka.

Przygotowanego pożywienia nie było też wcale aż tak wiele, jednak jak na tych paru śmiałków – nie do przejedzenia. Każdy z nich wróci dziś wieczorem do siebie i syty, zadowolony, zacznie opowiadać swojej rodzinie i znajomym, o cudnościach jakie otrzymał z łaskawej ręki ludzkiej.

- Ale to jakieś odpadki, resztki? - dopytywała się wilcza sfora.

- A gdzie tam odpadki! Zwykle calusieńkie ciała saren... no może trochę inne od naszych, smak jest jednak taki sam.

- Ale to zawsze lepiej smakuje, gdy się samemu upoluje, gdy kły zatopi się w ofierze znękaney, zmęczoney, niemającej nadziei ratunku...

- Prawda. Lec cóż? Czy kto zakazał polować? Można podjąć tylko trochę by nabrać sił, polowania bynajmniej nie zaprzestając.

Podobnie świergotały ptaki, dziki, sarny. Dlatego też więcej przyszło dnia drugiego zobaczyć te dziwy. I najedli się wszyscy do syta.

\*\*\*

Minęło dni parę i parę miesięcy zleciało, a obawy wszystkich zostały rozwiane. Teraz tłumy zwierząt przepychały się między sobą, pędząc niby na wyścigi, gdy tylko nadeszła codzienna ludzka dostawa.

I tu ujawniła się niestety zwierzęca natura. Co silniejsze sztuki odpychały słabsze. Tratowały jedzenie raciami, wrywały najlepsze kawałki darowizny, zostawiając słabszym jedynie resztki; pobrudzone i stłamszone.

Dlatego też drobnica i młodzież czyhała ciągle, by z pierwszym susem dopaść pokarmu, nim nadejdą starsi i potężniejsi ciałem. Tak też walczyła zwierza zgraja, kłócąc się i wadząc ze sobą ciągle.

Dokarmianie sprawiło, że zwierzęta stały się grubsze, bardziej ociężałe i leniwe. Ponieważ pokarmu nie brakowało, także wiele ich przybyło. Rodziły się sarny obficie. Ptaki wiły gniazda. Wilki poiły liczny miot.

Im więcej jednak zwierząt zasiedlało bór, tym większe bitwy toczone musiały być o dary człowieka i tym bardziej zdawały się być one niewystarczające.

Jak mówią mądrzy: apetyt rośnie w miarę jedzenia. Jeleń młody wystąpił przed szereg, mając coś do powiedzenia:

– Przyjaciele! – rzekł donośnym głosem. – Przyjaciele, na co zwady, kłótnie nasze? Walczymy o datek człowieka; bijemy się o pokarm, między członkami własnej rodziny! braci własnych tratujemy! Sarna bucha sarnę młodą, ptak ptaka dziobie, wilk gryzie wilka w pachwinę. Dość już! Dosyć, wreszcie!

– Dobrze mówi – zaświergotały ptaki.

Jeleń widząc, że zaczyna być słuchany, śmieiej jeszcze przemówił:

– Jest nas coraz więcej, a pokarmu nie przybywa. Dokarmianie się nie zwiększa. Czy nie w tym tkwi problem? Jeśli więc tak dalej będzie, czy i po kawałku małym dla każdego wystarczy? Zamiast więc walczyć

między sobą, myślny więc, jak skłonić człowieka by nam więcej dawał.

Siwy wilk warknął, w odpowiedzi:

– Bardzo mądrze, wieszuję! – zadrwił. – Łatwo powiedzieć. Myślisz może, że człowiek śpi na pożywieniu i o niczym innym nie myśli, aby tylko cię nakarmić? Myślisz może, że mógłby wyżywić całą knieję? a sam nie śpi, a sam nie je?

Jednak jelenia poparł niedźwiedź:

– Nie znasz ludzi – powiedział. – Znasz je tylko z polowań, z terenów, z których pochodzi twa wataha. Widziałeś ich tylko z psami, huczącego, w ataku; ja zaś widziałem jego gniazdo, ja odwiedziłem jego leże. Ludzie to nie tylko myśliwi. Człowiek potężniejszy jest niż zwierzę.

Ludzie budują kopce większe niż termity i twardsze od skały. Mrowie zasiedla je obficie niż gęstwiny. Z samych resztek, które odrzucają, jako bezużyteczne, nakarmiłem ja siebie i swą rodzinę. Tak, człowiek gdyby chciał, mógłby wykarmić nas wszystkich i nie zabrakłoby mu, ani nie byłby głodny.

Zamyśliły się zwierzęta. Sójka niepewnym głosem rzekła:

– Ale czy mamy prawo? Czy wolno nagabywać człowieka? wykorzystywać jego dobroć? I tak przecież darmo daje nam pokarm...

Oburzyły się wilki:

– Dobroć człowieka!!? Dobrze sobie! Człowiek – najpodlejsze ze stworzeń! I najbardziej przebiegłe. Wiele borów, wiele lasów, kniej, puszczy, gęstwiny, on wyciął? Wile zniszczył, strawił, spalił?

Darmo chodzi w skórkach naszych? Prawda, wyrósł ponad wszystkich, czyim jednak kosztem? Czy nie naszym? Czy nie drzewo z lasów naszych kradnie? Czy nie sarny nasze łapie? Nas by nie było i on by przepadł. Tak więc, całe jego bogactwo z nas samych pochodzi; na nas się wzbogacił.

Cóż więc złego, że teraz chce odpokutować? Że teraz, choć w małej części, odkupi swe dawne winy? Gdyby go nie było – gdyby wprawdzie nie był łapczywym i podłym – nie tak wyglądałaby knieja, nie takie byłyby łowy. Nie tyle byłoby saren, ptaków, dzików, lecz cały świat pełen byłby zwierzyny – jako było i pierwiej.

Wielu zginęło z przyczyny człowieka, inni zaś całkiem przepadli. Co więc złego, że teraz ludzkość chce jakoś, choć w części drobnej, nam za to dać rekompensatę? I więcej nam się należy! wedle prawa. Jeśli chcielibyśmy się rozliczać, niema chyba zadośćuczynienia, które by dosyć odpłaciło za krzywdy dawne.

A jeśli teraz człowiekowi, sumienie dało się we znaki: co zrobimy? Prędko korzystajmy, póki czas! Wie bowiem kto, jak długo to potrwa? Kto zaświadczy czy człowiek ucywilizowany, nie wróci do swego dawnego barbarzyństwa: nie wynajmie sfory psów, nie wyruszy z końmi, nie zastawi zasadzki, wnyk, pułapek, nie będzie huczał po górach, aż nas do szczętu wybije. Bierzmy, więc póki dobry, mnożmy się i rodźmy w obfitości, aby przetrwać!

Podobała się ta mowa zwierzętom i tak też uczynili: Następnego dnia, gdy ludzie przyjechali z załadunkiem, nadbiegła w ich stronę łania. Padła na ich oczach na ziemię.

– Cóż to znaczy? – zdziwili się ludzie.

– Z głodu ja umieram, za mało waszego dokarmiania...

Podkarmiwszy łanię – aż wstała na nogi i pokuśtykała w gęstwinę – idą dalej, a tu – wilk! Przestraszeni sięgają po strzelby. Lecz on pada bez strzału:

– Cóż to znaczy? – dziwią się ludzie.

– Z głodu ja umieram, za mało waszego dokarmiania...

I tego podkarmili. Idą dalej. Patrzą, a tu gołębie w gnieździe dziobią własne jaja.

– Cóż to znaczy? – dziwią się ludzie.

– Z powodu głodu, własne jaja jeść musimy, za mało waszego dokarmiania...

Takie też przedstawienie uczyniwszy przed ludźmi, czekali wszyscy efektu. Następnego dnia, w porze stałej, widzą i oczom nie wierzą: Oto całe fury kiszonki, wozy pełne pszenicy, stosy mięsa do spożycia. Nadto patrzą – bonus! – pisze na tabliczce; a tam przygotowany syrop słodki z cukru, dla owadów wszelakich: os, pszczoł, mrówek.

Rzucili się wszyscy zgodnie i najedli do syta, chwając własny spryt i naiwność człowieka. Wieść niesła się i do pszczoł, i owadów roju. I wyszła chmara, obsiadła słodkości i najadła się do pełna.

Pszczoły cierpliwe zaniósły słodycz do swych uli, mieszczących się w konarach drzew. Cieszyły się, że nie muszą zbierać małego nektaru z kwiatów, lecz mogą prędko zaopatrzyć swe małe spiżarnie i wreszcie odpocząć.

Wszyscy byli szczęśliwi. Tylko mięsożerców czekało zdziwienie i zawód pewien. Patrzą. – Czego to znów człowiek nie wymyśli? – Miast zabitych saren, czekało na nich mięso same. Oskórowane, bez krwi, mózgów, ścięgien żył. Trochę jedynie kości, tłuszczu; mało flaków, wnętrzności: wątrób, płuc, serc. W sumie jednak mięsa bardzo wiele.

Z ociąganiem, próbując, jedli. Wzdychając, przeżuwali kawałek po kawałku – czegoś im jednak brakowało. Szczęściem trafiły się jednak, całe kawałki nieoskórowane; krwawe steki; a nawet gdzieś jakaś głowa czy mózg. Tę też zdobycz, niegdyś określaną jako poślednią, wydzierali starsi i silniejsi, młodszy zaś posilali się tym, co było w obfitości.

\*\*\*

Minął znów czas niejaki. Dokarmianie nie zmniejszało się wcale, a nawet jakby rosło; po trochu. Ponieważ pszczoły nie zapylały kwiatów, nie było owoców; schły kwiaty po polach i lasach. Nikt jednak się tym nie zmartwił, jedzenia przecież nie brakowało.

Przyszła jednak czas zmian. To co uważano za trwałe, mogło zniknąć w każdej chwili. Przybyli dnia jednego, pora zwyczajna, patrz – pustki! Ni źdźbła dla jeleni, ni skrawka mięsa dla niedźwiedzi.

– Cóż to znaczy? – zdziwiły się zwierzęta. – Jak to? Nie ma? Zawsze było!

Znaleźli jedynie kartkę z napisem: „Za dwie godziny spotkanie”. I czekały te dwie godziny, wszystkie zwierzęta, a kiszki grały im marsza, ślina ciekła z pysków. Przyszli tedy ludzie. Mówią:

– Dosyć. Zakańczamy dokarmianie! Koniec już na teraz, więcej nie będzie.

– Ale jak to? Ale czemu?

– Nie jesteśmy niewolnikami waszymi i by wam ciągle służyć, nie mamy obowiązku. A choć chcieliśmy wam pomóc jak mogliśmy, brak nam pokarmu. A nadto słyszeliśmy, że niektórym jedzenie, którym dokarmiamy nie smakowało...

– Jak to nie smakowało? – oburzyły się zwierzęta. – Smakowało! Smakowało! – zaryczała cała zgraja, a ptaki świergotały ile sił w małych płucach. A gdy w końcu przestali, ludzie którzy przyszli na miejsce, tak im odpowiedzieli:

– Tak też myśleliśmy. A jeśli możemy być szczerzy, my sami, co tu stoimy, chcielibyśmy dalej dokarmiać wszelką leśną zwierzynę, jednak ci, co są u góry, przełożeni nad nami, załują paszy. Jeśli więc chcecie ich jakoś przekonać, wyście i ryczcie przez dzień cały, a może usłyszają was i zmienią zdanie.

Im się bowiem zdaje, że oszukujecie nas, co do głodu który panuje w puszczy. I naciągacie nas niepotrzebnie. Krzyczcie więc, a może zmienią zdanie.

Słyszając o oszustwie zwierzęta zmieszały się i zawstydzily. Posłuchały jednak ludzkiej rady i przez dzień cały wyły i narzekały. Niedźwiedzie ryczały co sił. Lecz i jelenie krzyczały głośno, niczym na rykowisku. Wilki wyły przez dzień cały. Ptaki świergotały jak umiały. A na koniec wszystkie poszły głodne spać.

Dnia następnego o porze wyznaczonej, przybyły prędko w miejsce wiadome. Tam czekała na nich strawa obfita, nie taka jednak jak wczoraj i przedwczoraj.

Chmara robactwa, pszczół i mrówek, zawiodła się strasznie, ani kropli słodkiego syropu; ani kostki cukru! Ptactwo również przestraszone odczytało kartkę: „Dostawa zboża spóźniła się. Porcji spodziewać się najwcześniej jutro.”.

Wilki zaś, niedźwiedzie i lisy, zawahały się niepewnie. Co prawda mięso dla nich przygotowano – jednak upieczone! Nie było już ciepłe, nie mieli więc problemów z jego zjedzeniem. Jednak było to mięso zmielone, ugotowane, posolone i doprawione. Całkiem smaczne, lecz i całkiem inne zarazem.

Tylko sarny i jelenie, oraz inni roślinożercy, ucieszyli się zupełnie na widok obfitej ilości kiszonki i sprasowanego łyka. Ich pokarm nie został zmieniony.

Zgłodniałe ptaki z braku pokarmu rzuciły się na osłabione owady. A ponieważ i następnego dnia zborze nie dotarło – a nie było też owoców, którymi można by było się posilić – wybiły je doszczętnie. Znikły wszystkie pszczoły, mrówki, osy – wszystko żywione wcześniej cukrowym syropem.

Syrop też ten więcej nie pojawił się – skończyło się dokarmianie owadów. Żadne jednak zwierzę nie zabiegało o to; każdy myślał tylko by jemu nie odebrano jego działki. Nikt też nie narzekał pamiętając niedawną przeprawę.

Niedługo też pojawili się ludzie. Odszukali wszystkie dzikie ule, zabrali plastry. Sprzątnęli mrowiska, poniszczyli wszystkie siedziby insektów. – Kwestia higieny. Nie chcemy przecież by niszczyły pokarm, którym was karmimy – tłumaczyli spokojnie, a nikt im w tym nie przeszkadzał.

Polowania w mateczniku niemal zupełnie ograniczono. Nie chciało się nikomu walczyć, czyhać w gąszczu, śledzić, trapić, kiedy pokarm był jak w misce: przygotowany, pewny, tani.

Tylko niektóre młode wilki, dla zabawy zabijały czasem łanię, lub chwytaly królika. Nie wiele jednak zjadały zeń; tylko co było mięsem najlepszym. Teraz już bowiem nie mogłyby znieść mózgow, skóry, ko-



ści – wszystko to miały za obrzydliwości.

Żyły więc zwierzęta w zgodzie, niby razem, społem. Każdy więc przypadek polowania, odbywał się hucznym echem wśród wszystkich i wywoływał pomruki niezadowolenia, i krzyki karcenia.

\*\*\*

Przeszedł znów czas pewien i pewna miara. Urodził się Ryś, co był zwinny, a myśli miał głębokie. Słyszając o wszystkich sprawach człowieka, od wieków, do wieku – o jego prześladowaniach, którymi dręczył lasy, o wyniszczaniu i pochłanianiu przez niego niegdyś puszczy całych – zasępił się srodze.

Spojrząwszy na wszystkie dzieje zwierząt i ludzi, odrzekł:

– Nie dobra to sprawa taka. Za bardzo jesteśmy uzależnieni od człowieka. On nas karmi, on nas poi – i do swej urabia woli.

Nikt już jak polować nie pamięta. Nikt nie umie żyć jak przodki. Coś mi widzi się, że los nas czeka nie słodki – lecz mroczny, a koniec nasz żałosny.

Jednak nikt nie słuchał rysia. Poszedł przeto samodzielnie, co sądził za słusznego próbować i żyć według swej woli. Zasadził się, aby polować. Jednak zając, chociaż tłusty, uciekł mu w trwodze. Spał więc tego dnia głodny.

Drugiego dnia pokusił się na młode jelenia. Lecz i to umknęło mu z drogi. I ten więc dzień pościł cały.

Trzeciego skoczył jak oparzony – i ta zdobycz prysła, złaknionym go zostawiając.

Nie mogąc głodu wytrzymać, na dzień czwarty, wrócił do siebie i poszedł na miejsce dokarmienia. Śmiali się z niego wszyscy, nie przyznawała rodzina, że tak wychudzony, wymizerniały i słaby.

Z łzami goryczy i upokorzenia jadł strawę człowieczą, a gdy się najadł wrócił do zasadzki i czyhał. Próbował pilnie, jadł bardzo mało, ćwiczył wciąż ciało, łapał powietrze. Tak, że i w końcu poszczyło mu się – zadusił młode sarny.

Stanął dysząc nad ofiarą martwą i głowił się – jak to niegdyś dziadowie potrafili z tego wyżyć? Jak można tak przetrwać?

Zaczął też jeść, pomału. Przyzwyczajony do gotowanego pocił się i krztusił. Zbierało go na wymioty. Jednak trwał konsekwentnie w przekonaniu – musi przyzwyczaić się, przebrnąć przez to. Wytrwać.

Jadł więc siłą woli, choć bardzo go mdliło.

Tymczasem wśród zwierząt wieść niosła się daleka – czyha morderca! Zabójca w gęstwinie! – oburzyli się wszyscy roślinożercy.

Tymczasem wilki przyszły odwiedzić rysia:

– Co to? Zdobycz? Winszuję! – drwiły z niego. – Tylko jakaś tak mała... Myślisz, że starczy ci na podwieczorek?

– Och posilasz się? – śmiał się drugi. – Co tam w menu? Mózdzek, żyłka, flaczki – pełne odchodów? Śmiało! Jedz, abyśmy widzieli twą przyjemność!

I jadł ryś z przymusem, próbując uśmiechać się przy tym. Lecz mina jego zdradzała wszystko, mówiąc wyraźnie, iż nie w smak mu potrawa takowa.

– Ha, ha, ha, ha! – roześmiały się wilki. – Toż mi ucztą! Wymiotuj! wymiotuj! jako i trzeba! Tak się kończą wszystkie głupie pomysły – tak śmieli się wszyscy; w taki sposób czynili to wielokrotnie.

Przedmiot kpin, żartów, obiekt śmiechów i drwin – tym był właśnie.

\*\*\*

Ryś jednak pozostał przy swoim; zdziczał. Odszedł od wszystkich, trzymał się z boku i czatował. Determinacja dodawała mu sił; z oczu jego – dziwne błyski.

Polował raz za razem; aż i nabrał w tym wprawy, a mięso zdobyczy zaczęło mu smakować. Jednak gniew zwierząt leśnych coraz bardziej wzmagał się nad nim.

Razu pewnego, jako zwykle, przygotowany do skoku, czekał w jednym ze swych miejsc zwyczajnych – co nowego się napatoczy? Kogo złapie? zje? zadusi?

Jednak los go czekał nie miły. Zając pojawił się na polanie. Wyskakuje w ataku drapieżca; prędko, zwinny, szybki.

Jednak gąszcz rogów zastąpił mu drogę. – Hola, hola, mamy cię zbójcu! – okrążyły go jelenie. – Koniec twoich łowów! Koniec morderstw, zabójstw, zbrodni! – wykrzyczeli nań jarosze.

– Czynieć co słusznego jest! – bronił się. – Wy również róbcie to na swój sposób: jedzcie trawę, liście, korę! Zamiast być niewolnikami ludzi! uwolnijcie się; wróćcie! do praw przodków, dziadów, babci. Jak żyć dawniej – na to patrzcie!

Wróćcie do życia waszych przodków!!! – wykrzyknął z całych sił do całej kniei.

Jednak zwierzęta nie zamierzały go słuchać. Natarli na niego rogami. Uderzony zasyczał złośliwie. Gdyby wszyscy nie byli ociężała i osłabieni ludzką opieką, byłoby już po nim, teraz jednak on jako jedyny był w pełni sił. Uskoczył drugiego ciosu.

Wysunął pazury i tnąc żwawo, wyciął sobie drogę między nimi. Zaryczały zwierzęta z bólu. Goniły go – a on uciekał, atakował – uskakiwał; gryzł, ciął, uderzał.

Zmachany zgubił w końcu pościg, jednak jego stan był fatalny. Żebra miał połamane, a z nogi ciekła wolno stróżka krwi. Nie miał sił; był głodny. A rozwścieczeni roślinożercy, mimo iż zgubili jego trop, nie zamierzali pozwolić mu odpocząć.

Ich było wiele, a on sam jeden; nie miał przed nimi schronienia.

Zrobił więc to, co zrobić mógł jedynie; odwiedził swych braci, matki, ojców, siostry – ród swój mięsożer-ny. – Przechowajcie mnie – mówi. – Przez wzgląd na to żeśmy braćmi, uratujcie mnie! bo gromada kopytnych, chce mojej głowy!

Ja tylko czyniłem, cośmy wszyscy dawniej czynili. Czy ma łania kopytem tratować rysia? Czy ma jelen rogiem go buchać? Pomóżcie mi, bom ranny! Pomóżcie, bom z waszego plemienia! – i przygarnęły go drapieżcy.

Rany wylizali, pokarm ludzki dali, ciałem swym ogrzali – to jednak były tylko pozory. Dnia następnego, wyprowadzono rysia; wkoło wrogowie. – Zdrada! – krzyczy.

– Twe obrzydliwe obyczaje nie pasują do naszego lasu. Ponieważ żyłeś jak barbarzyńca – jak barbarzyńca zginiesz – odpowiedziała cała jego nadzieja.

– Prędko! Brać go! Zniszczyć! Śmiało! Nie ucieknie! Jest skończony! Ginie! Marny jego los!

I zatłukły rysia; zdeptały. Łania co jej młode, porwał kiedyś w borze, kicała po nim śmiało. Skakali wszyscy, kopali, rogami podrzucali. Martwe jego truchło wyrzucono w las; skończył mu się czas.

\*\*\*

I znów minęły dni, tygodnie lub lata; spokojny czas w kniei. Dokarmianie nie ustało, wszyscy się cieszyli.

Teraz też człowiek, jakby sprawdzając, niby przez nieuwagę, podrzucił czasem jakiś kawał mięsa; jakąś kość ze skórą – mózdzek.

Jednak drapieżcy powąchawszy i oceniwszy jako nieużyteczne, odrzucali na bok – teraz już nie znieśliby takiej strawy. Dlatego też potem ludzie sprząтали to, przy ładowaniu porcji następnych.

Jeden jednak szczegół martwił co mądrzejszych: dokarmianie nie rosło; lub rosło jedynie nieznacznie. Niektórzy zaś twierdzili, że zaczyna maleć po trochu. Nim jednak panika rozlała się na całą puszcę, ludzie wyszli z nowym pomysłem. Blisko miejsca, zwierzętom ukazało się parę klatek. Powiedzieli:

– Mamy dla was specjalną ofertę, niestety będzie to dla chętnych bardzo przykre. Ci, którzy zgodzą się przez godzinę zostać zamknięci w kojcu, otrzymają dodatkowe porcje swego ulubionego pokarmu. Kto chętny niechaj zajmie miejsce.

Nieufna była zwierzyzna. Łakomstwo jednak czyni zuchwałymi. Pierwszy śmiałek wił się przez godzinę w boksie – jakby go ogień palił; drżał i trząsał się jak w gorączce. Myślał wciąż, że jest uwięziony, że nigdy już nie wróci do domu. Jednak godzina minęła, dostał dodatkowy przydział i mógł wrócić w gąszcz; nic złego się nie stało.

Także drugi cierpiał katusze. I trzeci nie mógł tego wytrzymać. Z czasem jednak każde stworzenie przyzwyczaja się do wszystkiego, a co było nienormalne, staje się zaraz codziennością. Zwierzęta prędko mówiły zatem tak:

– Ha, ha! I cóż strasznego jest w żelazie? jakimże strachem napawać nas mają stalowe pręty? Dalej, śmiało! chodźmy znowu, aż do sytości. Bo czy śpimy w klatce, czy też obok niej nie ma dla nas różnicy!

I nie bały się więcej zwierzęta. Ustalono, że im dłuższy czas przebywania w niewoli, tym większy przydział dodatkowej żywności. Już nie tylko godzinę, lecz i pięć, można było w niej przesiedzieć – jeśli się tylko chciało.

I tu pojawiły się pierwsze problemy. Chętnych nie brakowało, a choć człowiek dołożył jeszcze różnego

rodzaju klatek, ich liczba była ograniczona. Biły się zwierzęta o miejsca. Walczyły także, szukając tych wygodniejszych i miłszych.

Teraz, gdy widać było, że zwykle dokarmianie jest z każdym dniem już coraz mniejsze, problem stał się poważny. – Chcemy miejsca w klatce! – Krzyczeli co słabsi i mniej bystrzy w zaklepywaniu. – Żądamy prawa do bycia w niewoli! – piskały ptaki. – Kojec dla każdego wilka! – skandowali niektórzy.

Ludzie niechętnie i wolno spełniali te żądania; irytując mieszkańców ostępów, swą nieporadnością i nieudolnością. By było sprawiedliwie wreszcie ustalono, że kto choć godziny nie przesiedzi w żelazie, nie będzie miał dostępu do żadnego pokarmu; człowiek zaś miał udostępnić klatki wedle żądania. Podobała się ta uchwała obywatelom puszczy.

Spisywano tedy wszystko dokładnie, kto kiedy, jak i gdzie – bez żadnego oszustwa. Aby czasem kogoś ten obowiązek nie minął.

Zdarzyła się rzecz nieprzyjemna; doprawdy świńska to sprawa. Dzik jeden bezczelny, nie przestrzegał prawa. Rzekł kłamliwie, podszył za wilka, wyłudził za dużo; czyjaś porcję naruszył i pożarł. Gwałt się podniósł wśród wszystkich: – Szaleństwo! okropność!

Jednak było więcej spryciarzy. Spał jeden w klatce godzinę, a drugi dzień cały. Przyszedł ten, co godzinę i mówi – śmiały! – jakoby był tym, co dzień w niej spędził i dostał jego rację. A „dzienny” musiał zadowolnić się skrawkiem godzinnym.

Ryczały zwierzęta; protest podniosły: – Dosyć! Już dosyć, bezprawia!

Ludzie ręce rozkładali – bezradni: – Jakże odróżnić sarnę, od sarny – by wiedzieć, która ile ma dostać? Jakże rozróżnić między wilkiem, a wilkiem? stworem, a stworem? Ptaszyną, a ptakiem, jakże rozpoznać? Nie, nie podobna!

Gdy jednak głosy protestu podniosły się jeszcze, a wybryki przybrały na mierze, uradzono rozwiązanie i przyszła odpowiedź. – By ukrócić oszustwo, trzeba oznakować wszystkich.

I – chociaż niechętnie – poddali się mieszkańcy oznakowaniu. Kto ociągał się, brany był przez innych za oszusta – który w ten sposób boi się, że nie będzie mógł więcej kraść, co nie jego – tak że jeden pilnował drugiego.

\*\*\*

Upłynęło znów czasu trochę. Wszyscy radośni, szczęśliwi, weseli. Czasem kogoś człowiek w klatce pogłaszcze, lecz i to nie jest już niemiłe.

Nie może jednak nic trwać długo na świecie, a co się kiedyś zaczęło, ulega rozwinięciu; przechodzi w kontynuację. Człowiek powiedział zatem:

– Nie możemy już dłużej dokarmiać kniei. Ile pokarmu psuje się przez dojazd, ile energii marnuje na transport! Widać poza tym, że dokarmianie przyniosło efekt: puszcza nieprzebyta! Wszyscy najedzeni! Dosyć zatem sypania do koryta, dosyć pomocy dla zwierząt! Odjeżdżamy!

I błagały ich zwierzęta: – Zabierzcie nas ze sobą! Na co nam knieja, matecznika nie znamy, puszcza nie jest nasza! Weźcie nas i bierzcie! Bez was znów dzikustwo, bez was głód i bieda! Już wchodzimy do klatek, opuszczamy nory stare; aby z wami mieszkać, aby być żywionym.

Lecz ludzie na to twardo: – Jakże zmieścimy was u siebie? Skąd tyle miejsca, skąd dla was wynajdziemy pieczary? Przecież mieszkać ciągle w klatkach nie możecie!

– Możemy, możemy! Nie wiele trzeba nam miejsca, wszystko zniesiemy! Kąt mały, tyle co w klatce, choćby małej – to wszystko zadowoli nas dosyć.

– Nie, nie... – mówią ludzie. – Nie będzie to ekonomicznie! Starczy, starczy – dokarmiania. Przecież teraz was i wiele, przecież żeście rozwinięci... Co wam braknie? Nie, nie... Siedzicie sobie w domu! Puszcza waszym domem! Panem waszym niebo!

– Skądże, znowu! Panem jest nam człowiek, klatka naszym domem, weź nas człowiecze do siebie! Bierz!

prosimy ciebie!

– Nie, nie... Nie wiecie, co mówicie! Jeśli zabierzemy was ze sobą, nie będzie tak jak tutaj, że będziecie leżeć tylko – lecz będziecie musieli robić! Służyć nam, pracować! Nie będzie obijania, a kto leniwy, cięgi będzie zbierał! Zostańcie zatem u siebie!

Przeraziły się zwierzęta na te zapowiedzi srogie; jednak przed pozostaniem strach ogarnął ich jeszcze większy. Ptaki spojrzwały – gdzie owady? Gdzie owoce? Kto nas nakarmi? Kto da nam strawę?

Roślinożercy myślą: – Trawa jest niesmaczna! Bez kiszonki, zboża, nie przetrwamy! Zimą umarzniemy!

I drapieżców zgraja: – Co tu robić!? Polować nie umiemy! Mamy jeść surowe?! Fee! Obrzydlistwo! Nie podobna! Koniec z nami! Już jest po nas!

I wszystkie zgodnie zwróciły się do człowieka: – Owszem, rozumiemy! Będziemy służyć, zrobimy co każesz! Tylko nas nie zostawiaj, lecz zabierz nas ze sobą, a będziemy wiecznie z tobą.

\*\*\*

I tak, zabrano wszystkie wilki, sarny, ptaki, dziki. Małego i dużego wsadzono do klatki, a transportowce zabrały ich do miasta. Nie zabrakło dla nikogo stalowych krat.

Część zabito na miejscu. Z lisów, porobiono czapki. Ze skór jeleni, buty. Z wilków, dywaniki.

Inni poszli pod służbę. Wilki jako psy ochronne, gdyż nawet nie zauważyli, kiedy jedzenie, które im podawali jeszcze w lesie, zamieniło się w psią karmę z puszkki. Ptaki w fermach jajka wysiadywały, słońca więcej nie oglądając.

A człowiek przyszedł do puszczy pustej. Wyciął krzaki, wyrąbał wszystkie lasy. Obrócił w pustynię.



I zdobył całą knieję... bez choćby jednego wystrzału.

[KONIEC]

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Ten\_Smiertelny, dodano 30.12.2017 09:31

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).